

ANDRZEJ NIEWIADOMSKI

K

ESEJ PODRÓŻNY

1.

Nie znajdziemy nigdzie definicji podróżowania, ale jedna z teorii mówi, że podróż jest zawsze jakimś wariantem „ucieczki”. Otóż możemy dzięki niej uciekać od siebie lub powracać do siebie, to nigdy nie jest oczywiste. Bez względu jednak na to, który wariant wybierzemy, czyż możemy „uciekać” inaczej niż samotnie? Nigdy nie wrócimy do siebie „z kimś” ani też nigdy nie uciekniemy w pełni od siebie „z kimś”; jeśli już, to punktem odniesienia może być wyłącznie to wszystko, co nie ma wymiaru jednej, konkretnej postaci. Cała galeria tych, co odeszli i pozostawili po sobie ślady podrzucane nam przez los, przypadek, traf w trakcie podróży. Czyż nie jest ona też porządkiem naszego życia wewnętrznego? I czy porządek życia wewnętrznego nie jest planem wędrówki? Czy wyobrażacie sobie innego autora takiego szkicu niż wy sami? Spośród ludzi? Nie godzicie się raczej na takie ubezwłasnowolnienie, ba, nawet na współautorstwo. Poszedłem w jakieś argumenty, podczas gdy rzecz chyba ich nie wymaga. Nieustanne wchodzenie w świat zakłada ten warunek samodzielności, choć przecież nikomu nie jest obcy żal związany z niemożnością podzielenia się jakimś wyjątkowo intensywnym doświadczeniem. Być może szkoda czasu na ten żal, bo w przytomności osób trzecich nie byłoby to i tak możliwe. Któż podzieli waszą pasję łapania motyli, obserwowania ptaków, zbierania runa leśnego lub kolekcjonowania kamieni? Któż pochyli się razem z wami nad miejscem, któremu nie poświęca nawet linijki popularny przewodnik? Któż zdejmie z was nadmiar radości, kiedy zapadacie się wzrokiem w przestrzeń i staje się z nią jednym ciałem? Chciałem powiedzieć: nikt nie poda wam wtedy ręki, ale byłoby to z gruntu fałszywe. Podanie ręki jest bowiem aktem zdrady wobec konsekwencji podróży, próbą wyrwania was z jakże rozkosznej czeluści świata.

2.

Wiele razy nad Wisłę nie docierałem, wiele razy wysiadałem w Chodlu, choć przecież w tym dawnym miasteczku, poza charakterystycznym kościołem, jednym z najbardziej rozpoznawalnych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów dzięki dosztukowanej attyce na cylindrycznej, solidnej i pierwotnie zapewne obronnej wieży, nie było nic godnego uwagi. Albo też powiedziałbym: inne atrakcje nie były widoczne i należało je odkrywać na własną rękę. Brama jest częścią budowli, ale stać w bramie to wciąż wstrzymać się z decyzją o wejściu, bo po cóż posuwać się dalej, skoro już ona daje schronienie. Chodel był na tyle daleko od Lublina, że wysiadając w rynku, czuło się ten zakurzony klimat, nie wiadomo: beznadziei czy autentycznego życia, czuło się ten rytm pipidowy, lubianej jednak, której za nic potem nie chce się opuszczać, zupełnie nieracjonalnie, zupełnie bez powodu. Siedząc na malutkim tarasie Gold Baru (zaiste, złoty lokal, czasem złocący się od nitek sukienek i spódnic miejscowych piękności, które, wybierając się na sobotnie wesela, wpadały tu razem z mężczyznami, przed mszą albo w oczekiwaniu na koniec mszy, rzadziej na setkę, częściej na piłą wprost z butelek perłę, nie wiedząc, co począć z bukietami, wielkimi, z czerwonych kalii – zawsze miałem ochotę usłużyć je potrzymać przez kilka minut, wszak komfortowo zaspokoić pragnienie to rzecz ważna i nie ma z tym żartów – i rozsiewając woń coraz lepszych, z każdym rokiem, perfum, a potem nieco szeleszcząc i znikając wśród pojedynczych śmiechów i komentarzy), zatem siedząc tam, spoglądałem na wieżę kościoła jak na obrys, który ma się utrwalić, górującą nad parterową zabudową i sklepem naprzeciwko knajpy, i zadawałem sobie pytanie, ile jest podobnych miejsc, które moglibyśmy uznać za kwintesencję prowincjonalnego ducha

rodzimy pejzaży. (E., choć nigdy nie gustowała w takich miejscach, twierdziła potem wielokrotnie, że bez wizyty w Gold Barze nie można byłoby uznać wyprawy do miasteczka za udaną). Ale Chodel był jeden, nie było dla mnie innej bramy wiodącej ze wschodu nad rzekę. A ta rzeczka, płynąca zaraz za Gold Barem, na którą można było zerkać, omijając wzrokiem błękitnego toi toia, samotnie i lekko przechylnego, jakby zawianego, na końcu piaszczystego parkingu, uchodziła gdzieś do Wisły i mogła stanowić dalszą, nieco trudniejszą wprawdzie, ale piękniejszą drogę do kręgosłupa wielkiej wody.

3.

A potem pojechałem do Żółtkwi sam; właściwie chyba nie do Żółtkwi, ale się oszukiwałem, że wyłącznie. Musiałem to zrobić i nie było ucieczki od tego przymusu. Stałem w hotelu niedaleko „dworca” autobusowego, pod dwudziestym siódmym numerem, a hotel nazywał się Styl, co przyjąłem z pewną ulgą i szybko rozpoznałem w nim rygory stylu: miałem na ścianie piękny malunek w pomarańczowo-brązowych, ciepłych tonacjach, ze skałami nad morzem, odległym żaglowcem i szybującym w zachodzące słońce ptakiem, ze schematycznie ujętymi skrzydłami. Szybko rozpoznało tu też moje potrzeby kulinarne i już od drugiego dnia obsługiwała mnie wyłącznie Łesia, młoda kelnerka, która jako jedyna potrafiła wczuć się w jakiś popaprany laski gust, przynosiła śniadania do numeru, a kiedy wstawałem wcześniej, zapraszała na górkę, między błyszczące lustra, halogeny, śliskie terakoty i nikiel, a żebym się nie nudził i zaczynał miło dzień, włączała ogromną plazmę naprzeciwko stolika, zawsze ten sam kanał, i na ekranie dorodne kobiety tarzały się i wycierały długimi blond włosami buty przystojnych, słowiańskich mężczyzn, śpiewając „ja chocz s toboj cełowatsa”, lub tarzały się, umalowane na czarno i nie zdejmując wysokich obcasów, po łózkach, zapiewając o tym, że co prawda noc jest ciepła, ale im nie jest ciepło bez niego, o tej całej tęsknocie wyrażającej się frazą „ja tiebia żdu”, o okropieństwach własnego losu. Współczułem im bardzo, rozczulałem się do łez i dzięki temu Łesia zawsze otrzymywała mocno zaokrąglone sumy rachunku, a ja – ze spokojnym sumieniem – mogłem udać się do miasta, w którym czułem się po trosze tak jak za pierwszej wizyty, kiedy podobne dźwięki witały mnie w Irinie, wywołując nieco inne emocje.